



WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

„...dać szansę każdemu,
ale pomagać przede wszystkim lepszym”

Wywiad z Rektorem

**Wyższej Szkoły Informatyki
i Zarządzania w Rzeszowie
z okazji jubileuszu 10-lecia**

dr. hab. inż.
Tadeuszem Pomiankiem,
prof. WSiZ

27 marca 2006 r.



Andrzej Rozmus: Panie Profesorze, w znakomitym szwedzkim filmie Kay'a Pollaka „Jak w niebie”, nominowanym zresztą do Oscara w 2005 r., główny bohater, znany i ceniony dyrygent, po wielu latach koncertowania, nagle rzuca wszystko. Przestaje koncertować, rezygnuje ze sławy, pieniędzy, społecznego prestiżu, wyjeżdża na wieś i zaczyna zupełnie nowe życie – bez stresu, nieustannej presji i ciągłych wyzwań. Czy Pana Profesora nie nachodzą czasami myśli, by zostawić to wszystko i gdzieś wyjechać? Gdzieś, gdzie intensywność pracy i odpowiedzialność będą zdecydowanie mniejsze.

Tadeusz Pomianek: Niewątpliwie, im dalej posuwam się w latach, tym częściej nachodzą mnie takie myśli. Od kilkunastu lat próbuję rozbudować system edukacji niepaństwowej w Polsce i przez ten czas mogę tylko jedno powiedzieć – władza nie zmądrzała i nie jest bardziej chętna do pomocy. Do pewnego stopnia jest to walka z wiatrakami, ale na szczęście tylko do pewnego stopnia, ponieważ mimo wszystko osiągnięć mamy sporo. To jest właśnie ta przeciwwaga, to jest to, co powoduje, że mimo iż na „liczniku” mam coraz więcej lat, mimo że władza nie chce się przekonać do tego, aby pomagać przede wszystkim bardziej efektywnym, sukcesy są na tyle zachęcające, że warto robić swoje. Tak na marginesie, często mam pretensje do polityków o ich pasywność. Wydaje mi się, że wiem, z czego to wynika. O ile bowiem w USA ktoś, kto ma osiągnięcia, jest podziwiany, szanowany, a ludzie chcą się od niego czegoś nauczyć, o tyle w Polsce ludzie, którym się powiedzie, budzą nieufność czy wręcz bezinteresowną zawiść, przy czym im biedniejszy region, tym więcej tej zawiści. W takim klimacie społecznym prywatna inicjatywa stoi na straconej pozycji. Politycy, mając na sztandarach pomoc biednym, pomagają przede wszystkim instytucjom państwowym, by nikt oczywiście nie posądził ich o spieranie jakichś „prywaciarzy”. Pragnę im jednak powiedzieć, że do historii przechodzą ci, którzy potrafią wybić się ponad to schematyczne myślenie, ci, którzy popierają innowacyjność i indywidualną przedsiębiorczość, ci, którzy zrywają ze źle zdefiniowaną poprawnością społeczną i polityczną. Szkoda, że my, Polacy, tak często zachwycamy się Ameryką, a tak mało się od niej uczymy.

AR: Panie Profesorze, proszę mi powiedzieć, kto wpadł na pomysł powołania do życia Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie? Jak zrodziła się koncepcja powstania uczelni?

TP: Gdy w Polsce upadł system komunistyczny, to każdy pewnie zadawał sobie pytanie o to, co stanie się dalej z jego karierą zawodową. Ja osobiście, dzięki m.in. inspiracji pana profesora Bolesława Fleszara, szybko doszedłem do wniosku, że owszem, jesteśmy już wolnym krajem, ale mamy dramatyczny deficyt kadr, które są przygotowane do gospodarki rynkowej, więc jeśli chce się coś dobrego dla Polski zrobić, to pewnie w tym obszarze można zrobić najwięcej. I stąd się pojawił pomysł powołania do życia Rzeszowskiej Szkoły Menedżerów. Szkoła bardzo szybko „rozrosła się” w Stowarzyszenie Promocji Przedsiębiorczości, w którym stała się tylko jedną z wielu agend. Jednocześnie rosła cała infrastruktura kadrowa, materialna, techniczna i była to już połowa lat 90., więc wydawało się, że to jest najwyższa pora na kolejny krok – uczelnię wyższą. Mieliśmy, jak już powiedziałem, własne kadry, wyszkolone w dobrych szkołach biznesu w Holandii, Belgii, ludzi trenowanych przez ekspertów amerykańskich, mieliśmy pewną infrastrukturę i pewne doświadczenie rynkowe, wreszcie byliśmy znani na rynku wśród firm jako instytucja, która oferuje dobry towar, tak pod względem edukacyjnym, jak i doradczym. Wydawało nam się więc, że możemy z otwartym czołem zabrać się za tworzenie uczelni. Przy czym mówiąc „nam”, mam na myśli także wiceprezesów Stowarzyszenia Promocji Przedsiębiorczości, czyli pana dr. inż. Jana Andreasiaka i pana dr. Olgierda Łunarskiego. I tak się też stało – to był jakby pomysł automatyczny, wynikający z tego, co do tej pory udało się zrobić. Co więcej, pierwsza rekrutacja była dla nas szokująco duża. Wynikało to pewnie m.in. z tego, że byliśmy znani na rynku jako solidny partner.

AR: Jak długa była droga: od pomysłu do realizacji?

TP: To był okres około roku, w tym pół roku to była normalna procedura wymagana przez Ministerstwo Edukacji Narodowej.

AR: Czy brane były pod uwagę jakieś inne nazwy Uczelni?

TP: Po pierwsze, to myśmy się zastanawiali, kto powinien być założycielem. Z jednej strony, z tych przyczyn, co powyżej, to powinno być Stowarzyszenie Promocji Przedsiębiorczości, ale z uwagi na konieczną elastyczność przy tworzeniu nowego podmiotu były też argumenty, żeby to były osoby fizyczne. Mówię tu o ówczesnym zarządzie Stowarzyszenia Promocji Przedsiębiorczości. Ale zarazem musieliśmy brać pod uwagę fakt, iż jesteśmy w takim szczególnym miejscu Polski, gdzie prywatna własność, prywatne przedsięwzięcia dotyczące edukacji nie miały tradycji, a w związku z tym – dobrego klimatu. Z tego m.in. powodu postanowiliśmy ostatecznie, że jednak Stowarzyszenie będzie założycielem nowej uczelni. Natomiast co do nazwy, oczywiście chcieliśmy, żeby niosła ona jednoznaczną informację, że z jednej strony – kształcimy kadry dla gospodarki, a z drugiej strony – nasza uczelnia wyróżnia się nowoczesnością, więc jest głównie oparta o narzędzia informatyczne. I stąd taka nazwa.

AR: A miał Pan Profesor jakąś alternatywną do WSliZ nazwę?

TP: Tak, to były przede wszystkim te związane z pojęciem biznesu, więc Wyższa Szkoła Biznesu, ale też Wyższa Szkoła Galicyjska. Tu mieliśmy pomysł, by nazwę uczelni powiązać z regionalną tradycją. Galicja budzi różne skojarzenia, ale też szereg dobrych. Jedno jest jednak pewne – posiadając taką nazwę, uczelnia wyróżniałaby się. Tak czy inaczej argumenty przedstawione wcześniej były zbyt mocne, żeby rozważać realnie inną nazwę niż Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania.

AR: Jaka była rola Założyciela Uczelni – Stowarzyszenia Promocji Przedsiębiorczości? Jakie elementy Uczelnia przejęła z kultury organizacyjnej SPP? Co stanowiło dla niej wzorzec?

TP: Przede wszystkim to, że kadre muszą stanowić ludzie, którzy sami w życiu coś osiągnęli, którzy nie tylko potrafią prowadzić długie wywody teoretyczne, ale też przełożyć to na język praktyki. Dlatego też kadra Szkoły Menedżerów, dość liczna wówczas, kilkudziesięcioosobowa, prawie w całości zasilila Wyższą Szkołę Informatyki i Zarządzania. To zespół ludzi, który znał rynek, problemy rozwijającej się gospodarki rynkowej i miał oczywiście solidne podstawy teoretyczne. Co więcej, co do metodologii, to byli ludzie wyposażeni w rozwiązania praktykowane przez holenderskie szkoły biznesu. Stąd też od początku w programie studiów, bez względu na kierunek, pojawiły się negocjacje, gry decyzyjne i szereg innych, aktywnych metod dydaktycznych. SPP przekazało także Uczelni w wianie prawie cały dorobek materialny oraz doświadczone organizacyjnie zasoby kadrowe. To była odważna decyzja.

AR: Jak fakt, że WSliZ posiada status uczelni niepaństwowej, wpłynął, zdaniem Pana Profesora, na postawy ludzi budujących Uczelnię na samym początku? Czy dało się zauważyć postawy typu: to moja uczelnia, odpowiadam za nią, jestem jej właścicielem, czy może były postawy często obserwowane w instytucjach państwowych – to jest dla mnie etat?

TP: Absolutnie muszę powiedzieć, że dominowała postawa aktywna i pozytywna. Nie wiem, na ile nasz system organizacyjny, wynagrodzeń, corocznej oceny wpływał na wypracowanie takiego stosunku do swojego miejsca pracy, ale niewątpliwie byłem tym pozytywnie zaskoczony. Co więcej, mam niestety takie wrażenie, że później, kiedy zmieniły się proporcje i zaczęła dominować młodzież wśród kadry WSliZ, spadł procent ludzi zdeterminowanych i zaangażowanych. Da się odczuć to, co jest pewnie obecne w młodym pokoleniu, że im się wydaje, że oni to już tak starać się nie muszą, że im się należy przyjemne i dostatnie życie, że niekoniecznie to musi być ich ciężka praca. I to mnie trochę niepokoi, ale też z drugiej strony – wielu młodych ludzi świetnie się rozwija i niewątpliwie są przyszłością Uczelni. Tak czy inaczej, nasz system oceny i awansu premiuje osoby zaangażowane oraz ambitne i nawet jeżeli komuś udało się przejść przez system rekrutacji, a przejawia w pracy postawę bierności i braku inicjatywy, to w niedługim czasie już u nas nie pracuje.

AR: Rozwój niepaństwowego sektora szkolnictwa wyższego to w naszym kraju jeden z niewielu przykładów sytuacji, w której gospodarka narodowa nie ponosi żadnych kosztów, a jedynie zyskuje. Uczelnie niepaństwowe powstały bez wsparcia finansowego budżetu państwa, nie generując bezrobocia, tylko nowe miejsca pracy, i co ciekawe, nie niszczą konkurencji. Wydawałoby się więc, że władze rządowe, samorządowe powinny tylko przyklasnąć. Jak było w przypadku Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania? Władze wojewódzkie czy samorządowe w chwili pojawienia się inicjatywy powołania Uczelni pomagały czy przeszkadzały?

TP: Najczęściej były neutralne, co już jest dobrą wiadomością. Jednak przykładów, że przeszkadzały, też mógłbym znaleźć wiele, czy też sytuacji, w których mogły pomóc, a nie pomogły. Niestety, tak to u nas jest, że wydaje się, że pewien obszar społeczno-gospodarczy może być udziałem tylko instytucji państwowych, a więc jak mówimy o szkolnictwie, służbie zdrowia, usługach publicznych, to one mogą być tylko prowadzone przez podmioty państwowe. To jest oczywiście nieporozumienie, tak jak wielkim nieporozumieniem było przekonanie, że przemysł lotniczy, przemysł zbrojeniowy zlokalizowany tutaj może być tylko państwowy. Dzisiaj srogo za to płacimy – spóźniona prywatyzacja, ucieczka wykwalifikowanej kadry, przez lata oczekiwanie na jakieś rozsądne rozwiązania i dzisiaj to, co było kiedyś atutem tej części Polski, atutem już nie jest. Owszem, można znaleźć pojedyncze sukcesy (patrz: WSK PZL-Rzeszów), ale ten potencjał, który był jeszcze tak widoczny na początku lat 90., rozpułynał się w powietrzu. W rezultacie PKB w przeliczeniu na osobę w naszym województwie stanowi 70% średniej krajowej, podczas gdy jeszcze w 1990 r. wskaźnik ten wynosił 81%.

AR: Jak na powstanie WSliZ zareagowało środowisko akademickie Rzeszowa? Jakie były reakcje istniejących już od wielu lat uczelni państwowych?

TP: To jest, jak myślę, jedna z przyczyn sukcesu tej uczelni – po prostu nas nie doceniono. Wszyscy byli przekonani, że to jest sezonowa inicjatywa, która szybko zniknie z pola widzenia, i nie chodzi tutaj tylko o naszą uczelnię. Tak szybki rozwój szkolnictwa niepaństwowego w latach 90. był m.in. dlatego możliwy, że uczelnie państwowe zupełnie zlekceważyły rodzącego się rywala.

AR: A pamięta Pan Profesor swój pierwszy dzień w nowej pracy? Co Pan wtedy czuł, gdy po pozytywnej decyzji Ministerstwa o rejestracji przekraczał Pan próg Uczelni, wtedy jeszcze jako Kanclerz?

TP: Nie wiem, czy to akurat był pierwszy dzień, ale ten okres, kiedy dostaliśmy decyzję, to był niewątpliwie okres euforii. Myśmy jeszcze nie do końca zdawali sobie sprawę z tego, jakie wyzwania będą przed nami. Byliśmy pełni nadziei, pełni optymizmu i przekonania, że przed nami tylko pasmo sukcesów. Byliśmy doświadczeni realizacją różnego rodzaju przedsięwzięć – przecież za sobą mieliśmy różne agendy Stowarzyszenia Promocji Przedsiębiorczości, które trzeba było utworzyć, rozwinąć itd. Mieliśmy dobrze rozplanowany sposób zabierania się za nowe przedsięwzięcia, więc od strony organizacyjnej wypadło to naprawdę bardzo dobrze, tyle że skala rekrutacji była na tyle duża, że pojawiły się później problemy błyskawicznego wzrostu – i to były niemałe wyzwania. Natomiast, powtarzam, początek to był optymizm, wiara, że zaczynamy ciekawe życie zawodowe, przekonanie, że wiele uda się nam zrobić.

AR: Chciałbym nawiązać do wyzwań, o których Pan Profesor wspominał. Co było najtrudniejszym wyzwaniem, zadaniem w pierwszych dwóch latach funkcjonowania Uczelni?

TP: To było przede wszystkim pozyskanie właściwej kadry. Ja oczywiście wiedziałem, jaką kadrę chciałbym zatrudniać, ale to musiał być swoistego rodzaju kompromis, czyli z jednej strony – kadra, która była fundamentem Rzeszowskiej Szkoły Menedżerów, o dobrych podstawach teoretycznych, ale z dobrym doświadczeniem, dużymi osiągnięciami, z drugiej – kadra z tytułami, która stworzy atmosferę akademicką. Jest oczywiste, że rodząca się uczelnia była wielką niewiadomą i nie był to argument w moich rozmowach z późniejszymi pracownikami – czy to profesorami, czy to adiunktami. Wielu

z nich po prostu nie podjęto się tego ryzyka, ponieważ traktowali to jako wielce ryzykowny eksperyment.

AR: A co przekonało tych, którzy się zgodzili?

TP: Myślę, że gros ludzi, którzy się zgodzili, albo wcześniej nas znało z dobrej strony, uważając, że jak się za coś bierzemy, to z tego coś będzie, a wielu to byli autentyczni entuzjaści tego przedsięwzięcia. Chylę więc czoła przed tymi profesorami, którzy nie walczyli ostro o wysokie stawki, tylko byli przekonani, że oto razem możemy coś interesującego zrobić i ta fascynacja tym przed jubileuszowa się wzięciem, zaangażowanie było bardzo pomocne przez pierwsze lata. Dokładnie odwrotnie jest teraz – mamy problem wyboru, a nie problem braku chętnych. Choć jeżeli oczywiście chodzi o pierwszoetatową kadrę profesorską, to wolałbym, żeby chętnych było jednak więcej.

AR: Czy na samym początku oprócz problemów kadrowych były jeszcze inne poważne wyzwania?

TP: Skoro pierwsza rekrutacja jest na poziomie 2 tys. studentów, to w jaki sposób i za jakie pieniądze można szybko stworzyć infrastrukturę od początku z założenia nowoczesną? Wyzwaniem był tutaj wyścig z czasem. Pierwsze lata to przecież były niezwykle intensywne prace inwestycyjne. Wystarczy powiedzieć, że budynek, w którym rozpoczynaliśmy, dzisiaj stanowi 1/6 tego, co mamy obecnie tylko na ulicy Sucharskiego, nie mówiąc już o obiektach, które powstały choćby w Kielnarowej. To chyba dobre miejsce, żeby podziękować żonie Urszuli, która ze skromnym zespołem projektowała i budowała tanio, szybko i nowocześnie. Dotyczy to zresztą nie tylko Rzeszowa i Kielnarowej, ale również Zamościa (Wyższa Szkoła Zarządzania i Administracji), a ostatnio także Krakowa (Wyższa Szkoła Europejska).

Wracam jednak do problemów. Więc z jednej strony – była kwestia kadrowa, a z drugiej – kwestia „dopięcia portfela”. Nie zadłużać się, a jednocześnie stworzyć nowoczesną bazę podług rosnącej szybko liczby studentów. To było niemałe wyzwanie i ludzie, na których to przede wszystkim się skupiało, musieli się wykazać rzeczywiście hartem ducha, przy czym cały czas stosowana była też, funkcjonująca od początku istnienia Stowarzyszenia Promocji Przedsiębiorczości, żelazna zasada: nie mniej niż 20%, a najlepiej 30% przychodu (nie dochodu, a przychodu) szło na inwestycje. Non stop ten wskaźnik jest utrzymywany i dzięki temu zdążyliśmy z infrastrukturą, dzięki temu znowu możemy się chwalić, że jesteśmy wyjątkowo nowoczesną uczelnią.

AR: Sukcesy Pana Profesora są powszechnie znane. Ja chciałbym zapytać w tym miejscu o decyzje, których Pan Profesor żałuje – niepotrzebnie je podjąłem bądź dlaczego ich nie podjąłem? Chodzi mi głównie o pierwsze lata działania WSiZ.

TP: Moje decyzje wiązały się z możliwościami. Wiedzieliśmy, co trzeba zrobić, żeby ta uczelnia jeszcze szybciej urosła w siłę, ale wówczas nie było możliwości. Dla mnie np. było oczywiste, że należy pozyskać jakiegoś mocnego partnera z Unii Europejskiej, a jeszcze lepiej ze Stanów Zjednoczonych. Natomiast na ówczesne czasy była to rzecz nie do przeskokowania. Owszem, były szanse na pozyskanie – jako partnerów – trzecioligowych uniwersytetów amerykańskich. Uznaliśmy, że to nie byłoby dobre rozwiązanie.

Niewątpliwie żałuję, że nie udało się pozyskać w tym czasie renomowanego uniwersytetu zachodniego. Ja, ale też moi współpracownicy, prowadziliśmy przez te wszystkie lata różne, intensywne działania na rzecz zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym w Polsce – by edukacja była bardziej otwarta na współpracę z zagranicznymi podmiotami, by w związku z tym państwo przestało dyskryminować uczelnie niepaństwowe, by przede wszystkim decydowały kwalifikacje, a nie tytuły. Tu muszę powiedzieć szczerze, że nie udało się zbyt wiele zrobić. Mam jednak nadzieję, że idą lepsze czasy i to umiędzynarodowienie uczelni, które jest głównym wyzwaniem ostatnich lat, nabierze tempa.

AR: A decyzja, której Pan profesor żałuje?

TP: Jak czasami mam wszystkiego dość, to myślę sobie: „po co ci to było, Grzegorz Dyndało?” – wszak decyzje o powstaniu Rzeszowskiej Szkoły Menedżerów podjąłem w momencie, kiedy byłem już doktorem habilitowanym i właśnie zacząłem publikować swoje główne osiągnięcie habilitacji. Opracowałem wtedy nową metodę prognozowania właściwości stopów, byłem przekonany, że metoda ta jest rewelacyjna, co więcej, przekonałem znakomitych profesorów krakowskich do tego stwierdzenia, ale potknąłem się w Stanach Zjednoczonych. Wobec tego miałem dwa wyjścia: albo z determinacją przekonywać Amerykanów, że to, co zrobiłem w habilitacji, rzeczywiście jest osiągnięciem naukowym, albo poddać się i zabrać się za zupełnie innego rodzaju działalność, czyli w pewnym sensie zrezygnować z ambitnej nauki, a zabrać się za menegment, czyli coś, w czym nie miałem doświadczenia do tej pory. Wybrałem wyjście drugie i w sumie nie żałuję tego. Jak już mówiłem, w chwilach, kiedy mam wszystkiego dość, to czasami wracam do tego pytania „czy nie lepiej było pozostać w nauce?”.

AR: To rzeczywiście była bardzo odważna decyzja, taki skok do nieznannej wody. Bardzo często podejmuje się różnego rodzaju ryzykowne przedsięwzięcia, ponieważ mamy jakiś wzorzec do naśladowania, mamy jakiś autorytet, który pobudza nas do działania. Jestem ciekaw, czy Pan Profesor ma taką osobę, postać, która jest dla Pana Profesora wzorem do naśladowania, autorytetem?

TP: W świecie nauki niewątpliwie takie osoby mam, to był profesor Władysław Ptak, to jest profesor Jerzy Sędzimir z Krakowa, natomiast jeśli chodzi o menegment, nie mam. Niewątpliwie słabością naszego kraju jest to, że w świecie nauki funkcjonuje za mało osób, które mają pewne talenty organizacyjne, menedżerskie, które potrafią połączyć pewne pomysły, pewne przedsięwzięcia, by osiągnąć więcej. Tutaj mówię wprost – wzorców nie mam. Tym bardziej, że sposób funkcjonowania Kanclerza czy później Rektora w szkole niepaństwowej jest zupełnie inny niż w szkole państwowej. Miałem natomiast za sobą bardzo ważne doświadczenie. Na początku lat 90. zostałem prorektorem Politechniki Rzeszowskiej i to były takie czasy, że jeszcze wiele można było zrobić, ale już wówczas zauważyłem, że można zrobić tylko na początku, zaraz potem związki zawodowe i pasywna, roszczeniowa kadra zrobią wszystko, żeby zablokować bardziej odważne decyzje. Ale po pierwsze, to było doświadczenie, które wzmocniło niewątpliwie moje umiejętności organizacyjne, a po drugie – zakładając później uczelnię niepaństwową, wiedziałem doskonale, czego nie wolno przenosić z uczelni państwowej – bakcyła pasywności, skostnienia, wręcz pewnego genu śmiertelności. I to udało mi się w dużej mierze zrobić. Byłem szczególnie doświadczonym człowiekiem, jeśli chodzi o słabe punkty szkolnictwa państwowego.

AR: Właśnie, bo uczelnia niepaństwowa to jest specyficzna instytucja. Czym, zdaniem Pana Profesora, różni się zarządzanie uczelnią niepaństwową od zarządzania współczesną firmą?

TP: Różnica, moim zdaniem, nie jest duża. Po prostu funkcjonujemy tylko w trochę innych ramach prawnych, natomiast poza tym chodzi zawsze o to, żeby mieć dobry pomysł, żeby do realizacji tego pomysłu przekonać oraz skupić wokół niego odpowiednio kompetentnych i zaangażowanych ludzi, i później, jak już pomysł się rozwija, żeby mieć świadomość, że wczorajsze zasoby kadrowe, wczorajsza struktura organizacyjna jutro już może nie wystarczyć. Więc jeśli będziesz się szybko rozwijał, a zapomnisz o tym, że jednocześnie musisz dbać o rozwój swojej bazy kadrowej, swojej struktury organizacyjnej, to w pewnym momencie to się rozjedzie i zakończy się po prostu porażką. I tak samo jest w przypadku firmy – dobór ludzi, dobre pomysły, pewna konsekwencja, pokora, czyli przeświadczenie, że na pewno obok ciebie na rynku są lepsi, że jeśli dzisiaj wygrasz, to jutro możesz przegrać, że twoje otoczenie jest dynamiczne i ciebie też podglądają, że twoje wczorajsze przewagi już dziś nie istnieją. To są wszystko rzeczy absolutnie obecne również w firmach prywatnych. Natomiast inne są mimo wszystko cele. Celem przedsiębiorstwa jest zysk, natomiast uczelni – kształcenie na odpowiednio wysokim poziomie, rozwijanie działalności i gospodarczej, i naukowej, więc to jest bardziej skomplikowane. Dotyczy wielu obszarów aktywności i w związku z tym też skupiania wokół siebie ludzi o bardziej zróżnicowanych

kompetencjach. Pewne podobieństwa więc są, ale niewątpliwie trudniej, w moim przekonaniu, jest kierować uczelnią niepaństwową, tym bardziej, że z góry mamy narzucony, sztywny gorset pewnych przepisów, które serwuje nam Ministerstwo Edukacji Narodowej i z którymi się po prostu trzeba liczyć, mimo że czasami są – używając eufemizmu – niespójne.

AR: Jak twierdził Daniel Bell w książce „Kulturowe sprzeczności kapitalizmu w nowym społeczeństwie”, szkoła wyższa ma do spełnienia zupełnie nową rolę i ciążą na niej nowe obowiązki. To już nie tylko kształcenie obywateli, to również cały konglomerat funkcji społecznych i kulturalnych. Jak Pan Profesor na początku działania WSliZ definiował jej rolę i misję? Czy od tego czasu coś w tej definicji się zmieniło?

TP: Jeśli chodzi o początek, to główny nacisk był położony na kształcenie kadry dla gospodarki. Mieli to być ludzie o solidnych fundamentach, jeśli chodzi o wiedzę, ale też umiejętności wykorzystania tej wiedzy w rozwiązywaniu konkretnych problemów. To był początek. Później, oczywiście, dostrzegliśmy też, że możemy wiele zrobić, jeśli chodzi o kadry dla polskiej informatyki. Dość widoczny był również fakt, że nasza uczelnia może sporo zrobić dla swojego otoczenia. I taka przedziwna sytuacja: otoczenie na rzecz tej uczelni niewiele zrobiło, żeby nie użyć mocniejszych słów, natomiast ta uczelnia zrobiła na rzecz otoczenia bardzo dużo. Mam przekonanie, że w wielu obszarach znacznie więcej, niż bez przerwy dotowane z budżetu państwa wyższe szkoły państwowe. I można powiedzieć, że to jest niesprawiedliwe. Ale najważniejsze jest to, że pokazując, że potrafimy być przydatni dla społeczeństwa, dla otoczenia uczelni, tym bardziej przekonujemy się, że idziemy właściwą drogą, pomnażamy swoje kompetencje, swoje możliwości, które kiedyś niewątpliwie będą stanowić koronny argument w walce konkurencyjnej na rynku edukacyjnym. W miarę rozwoju, w miarę, jak się pojawiały większe możliwości kadrowe, infrastrukturalne itd., zdawaliśmy sobie sprawę, że można i trzeba więcej zrobić dla społeczeństwa. I ja się zgadzam, że jeśli jesteśmy w okresie rozwijania się cywilizacji wiedzy, to szkoły wyższe będą miały kluczową rolę, bo to nie jest tylko kształcenie kadr, ale to też umiejętność zidentyfikowania potencjału danego regionu, danego miasta, danego środowiska i pokazania, jak ten potencjał wykorzystać. Z jednej strony – wiedza, gdzie świat pędzi, jak się rozwijają poszczególne branże, a z drugiej – wiedza na temat środowiska, w którym się tkwi. Tego nie robi żadna pojedyncza firma. Tego tym bardziej żaden urząd nie zrobi. To zrobić może uczelnia, która ma – jedyny w tym towarzystwie konieczny – zakres kompetencji. Ciekaw jestem, kiedy władza to zrozumie.

AR: Budowanie cywilizacji wiedzy wymaga odpowiednich kadr. W jaki sposób WSliZ prowadzi swoją politykę kadrową w zakresie dydaktyki?

TP: Uczelnia ma kompleksowy system wspierania rozpraw doktorskich i habilitacyjnych. Są to stypendia, granty wewnętrzne i pomoc w pozyskaniu odpowiednich promotorów.

AR: Widzimy, jak zmieniały się cele, misja WSliZ w ciągu tych 10 lat. A jak według Pana Profesora w ciągu tych 10 lat działania Uczelni zmienił się jej student? Innymi słowy, jak bardzo różni się student WSliZ rocznik 1996/1997 od studenta WSliZ rocznik 2005/2006?

TP: Mam takie przekonanie, że o ile na początku głównie przychodzili do nas ci, którzy się nie dostali do uczelni państwowych, o tyle z roku na rok rósł wskaźnik tych, którzy przede wszystkim wybierają naszą uczelnię. Gdyby opierać się na ankietach, to dla ponad 60% osób, które do nas przychodzą, nasza uczelnia jest pierwszym wskazaniem. Z tego można być bardzo zadowolonym. Ale to nie przyszło samo. Sprawił to nasz system kształcenia, który z jednej strony – był wymagający, ale z drugiej strony – dawał większe szanse tym bardziej ambitnym. Najpierw wyłącznie własny system stypendialny, a teraz, od dwóch lat, również ministerialny. I staraliśmy się to umiejętnie wykorzystać, by, mówiąc krótko, dać szansę każdemu, ale pomagać przede wszystkim lepszym. Tak jest sprofilowany nasz cały system stypendialny. Wreszcie zaczęło docierać do młodzieży, że ci ambitni naprawdę mogą się tu rozwinąć, mogą studiować za darmo. Dzisiaj np. mamy taką sytuację, że na naszej uczelni w poprzednim roku akademickim (2004/2005) aż 40% studentów otrzymywało stypendium

pod różną jego postacią. Co więcej, prawie 200 osób otrzymywało stypendia 2-, a nawet 3-krotnie wyższe od kwot czesnego, około 1300 osób stypendia pokrywające 50-100% czesnego, a około 1300 osób studiowało za darmo, otrzymując stypendia większe od czesnego. Rekordziści dzięki kumulacji różnych form stypendium mogli otrzymywać w WSliZ nawet 2 tys. zł netto. A to wszystko w sytuacji, kiedy w dalszym ciągu nie jesteśmy uczelnią w żaden sposób dotowaną przez skarb państwa. Możemy powiedzieć, że to jest jeden z rekordów świata. Tak, jak Pan wcześniej powiedział, rządzący nie potrafili bądź nie chcą zauważyć, że osiągnęły to właśnie uczelnie niepaństwowe. Chodzi oczywiście tutaj o te przyzwolone, bo wiadomo, że są takie, które „chałturzą” i jak przyjdzie niż demograficzny, to po prostu zwiną swoją działalność. Wystarczy popatrzeć na to, jak wyglądają inwestycje w infrastrukturę, kadre i od razu wiadomo, czy mamy do czynienia z kimś, kto ma jakąś perspektywę, czy korzysta jedynie z koniunktury rynku. Gdyby więc na te dobre uczelnie popatrzeć jakiś mądry rządzący, to momentalnie by zauważył, że są to jakieś cudowne zupełnie firmy, które trzeba nosić na rękach, chuchać na nie, dmuchać. Niestety, muszą one nieustannie walczyć, by np. mogły złożyć aplikację do funduszy unijnych. Moja walka, prawie roczna, żeby uczelnie niepaństwowe – w ogóle instytucje non profit – mogły do Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego składać granty, jest tego dobitnym przykładem. Absolutne preferencje dla uczelni państwowych – jak się tylko da, samorządy, władza pomaga właśnie im. A przecież skoro tych pieniędzy mamy mało, to aż się prosi, żeby dawać je tym, którzy potrafią lepiej je wykorzystać. Skoro łaskawie pozwolono istnieć uczelniom niepaństwowym w Polsce, to nie po to, żeby dogorywały, tylko po to, żeby ich potencjał rozkwitał, bo to jest w interesie wszystkich. Jeśli same z siebie stworzyły tyle miejsc pracy i tyle młodzieży kształcą, to udowodniły, że warto im zaufać i dziś stanowią ważny składnik naszej rzeczywistości. W tym kontekście trudno zrozumieć naszych polityków, którzy mimo różnych akcji z naszej strony nie zgodzili się, żeby założyciel był właścicielem uczelni. Przepis jest zupełnie absurdalny. Owszem, założyciel może zostać właścicielem majątku, którym dysponuje uczelnia, jeśli ją zlikwiduje. To jest jakby zachęta: „wpuściliśmy was na parę lat, a teraz się pakujcie, możecie ten mająteczek ze sobą zabrać”. Przecież sytuacja, w której założyciel jest właścicielem, byłaby najlepsza, stanowiłaby mocną zachętę do inwestowania w edukację. Nikt by na tym nie stracił, wszyscy by natomiast zyskali. Więc pytam się polityków: „gdzie i czyich interesów pilnujecie? gdzie wasze rozumienie dobra młodego pokolenia”? Jest to szczególnie irytujące, bowiem w dalszym ciągu sektor niepaństwowy (mówię o szkołach wyższych) działa w warunkach niekorzystnych, bez dofinansowania choćby dla studiów dziennych. Przecież od podstawówki do policealnych szkół prywatnych jest takie dofinansowanie. To traktowanie po macoszem. Można powiedzieć, że lepszy zawsze sobie poradzi, tylko chodziłoby o to, żeby lepszy w pełni mógł wykorzystać swój potencjał dla dobra społeczeństwa.

AR: Warunki rzeczywiście nie są równe, jednak WSliZ radzi sobie w nich całkiem nieźle. Jak określiłby Pan Profesor miejsce WSliZ na mapie edukacyjnej Polski, szczególnie w kontekście poszerzonego ostatnio konsorcjum? Czy trójka: Wyższa Szkoła Zarządzania i Administracji w Zamościu – Wyższa Szkoła Europejska w Krakowie – Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie to etap końcowy?

TP: O nie. Rozpoczęliśmy proces konsolidacji sektora niepaństwowego w Polsce, uważając, iż jest to konieczne nie tylko z uwagi na niż demograficzny, ale dlatego, że ponad 300 szkół niepaństwowych w Polsce to przesada. I to jest początek drogi. Cieszymy się, że mamy te trzy uczelnie. Każda w swoim środowisku ma dobrą, jeśli nie bardzo dobrą pozycję. Ale rozglądamy się za następnymi partnerami, którzy będą się również w swoim środowisku wyróżniać, tak jak te dwie, wspomniane uczelnie. Jest to nieustający proces. Chcemy stworzyć w sumie dużą uczelnię. Każdy z następnych, ewentualnych członków tego konsorcjum musi powielać naszą kulturę organizacyjną. To jest wymóg – to robimy w Krakowie, to zrobiliśmy w Zamościu. A więc nowoczesne narzędzia informatyczne w zarządzaniu, w procesie dydaktycznym i obsłudze studentów, podobna polityka kadrowa, tak co do selekcji, oceny okresowej, awansu, jak i systemu wynagradzania. Kształcenie z wykorzystaniem aktywnych metod dydaktycznych, w sposób praktyczny i w ścisłej współpracy ze sferą gospodarki. Działalność dydaktyczna jest ważna, ale niezwykle ważne są projekty, działalność naukowo-badawcza i chodzi o umiejętne zintegrowanie tych dwóch obszarów aktywności. To wszystko przynosimy w darze do kolejnych członków naszego konsorcjum, będąc przekonanym o tym, że to jest to, co nas wyróżnia na rynku edukacyjnym w Polsce, to jest

swoisty gen nieśmiertelności albo przynajmniej długowieczności, który możemy im w wianie przekazać.

AR: Czyli rozumiem, że gdybyśmy za 10 lat wznowili tę rozmowę, po 20 latach funkcjonowania Uczelni, to będziemy rozmawiać o zupełnie innej organizacji?

TP: Takie mam przekonanie. Nie ukrywam, że naszym celem jest uniwersytet, tyle że polskie ustawodawstwo na razie zupełnie nie pomaga w realizacji takich ambicji. Naszym priorytetowym celem jest kształcenie na wysokim poziomie kadr o wysokich kompetencjach zawodowych. To jest kolejne moje doświadczenie z uczelni państwowej (nie tylko zresztą moje), że pracodawcy bardzo narzekają na przygotowanie zawodowe absolwentów szkół wyższych. Chcemy i tak czynimy, żeby nasi absolwenci mieli praktyczne umiejętności, umiejętności rozwiązywania problemów, umiejętności komunikacyjne, umiejętności ciągłego kształcenia się, bo wówczas pracodawca będzie ich dobrze postrzegał. I nie ukrywam, że system nadzoru ze strony Ministerstwa, ze strony Państwowej Komisji Akredytacyjnej niekoniecznie nam w tym dziele pomaga. I jak patrzę np. na niektóre uczelnie amerykańskie, a nawet niemieckie, to przede wszystkim tego im zazdroszczę – że oni mogą tę dużą korespondencję z potrzebami rynku pracy stworzyć. Ale mam nadzieję, że ewolucja w Polsce w tę stronę w końcu pójdzie. Mam również pewien niedosyt, jeśli chodzi o postrzeganie naszej uczelni w skali kraju. Może jestem tutaj nieskromny, ale po prostu uważam, że mamy pewne osiągnięcia o wymiarze przynajmniej ogólnokrajowym, a media mają schematyczny sposób postępowania. Upatrzyły sobie parę osób czy parę uczelni z sektora niepaństwowego i głównie skupiają się na nich. Trudno przebić się z informacją, że są pewne rzeczy, o których warto mówić. Niewątpliwie więc nasza uczelnia, gdybyśmy popatrzyli chociażby przez pryzmat tego, że studenci mają obligatoryjny wymóg zdobywania międzynarodowych certyfikatów językowych oraz informatycznych i bez tego nie dostaną dyplomu, a my nawiązaliśmy współpracę z czołowymi firmami informatycznymi świata, to w skali kraju jesteśmy liderem. Dalej, jeśli chodzi o wykorzystanie nowoczesnych narzędzi informatycznych, związanych z zarządzaniem i obsługą studentów, oferowanych w ramach produktu ogólnie nazywanego Uczelnią XP, to znów w Polsce my jesteśmy liderem. Firma Partners in Progress, której jesteśmy głównym udziałowcem, już w trzydziestu kilku uczelniach państwowych i niepaństwowych te nowoczesne systemy wprowadziła – to wymusza nowoczesność także po stronie procesu dydaktycznego, otwiera na świat, uczy ludzi korzystania z zasobów Internetu, obniża koszty funkcjonowania uczelni. Obliczyłem, że jeśli by nasz system praktykowany był w uczelniach państwowych, to okazałoby się, że w tych uczelniach pracuje o 40 tys. osób za dużo w obsłudze i administracji, a uczelnie te zaoszczędziłyby 1,5 mld zł rocznie tylko z tytułu pensji i pochodnych. Marowane są pieniądze, które mogłyby być przeznaczone na niedoinwestowaną naukę. Jeśli dzisiaj wśród uczelni niepaństwowych zajmujemy zdecydowanie pierwsze miejsce, tak co do zasobności infrastruktury informatycznej, jak i chociażby liczby studentów z różnych stron świata, razem z Partners in Progress unowocześniamy polskie szkolnictwo wyższe, to powinny być to wystarczające argumenty dla promowania nas w mediach ogólnopolskich. Tego się jednak nie czyni. Z różnych oczywiście przyczyn. Z pewnością są po naszej stronie pewne błędy, jeśli chodzi o public relations, ale jak myślę, trudno uwierzyć mediom ogólnopolskim, że na Podkarpaciu może być coś tak dobrego, coś tak nowoczesnego.

AR: Istotnie Podkarpacie ma problem z pewnym stereotypowym postrzeganiem przez innych mieszkańców naszego kraju. Jak Pan Profesor w związku z tym ocenia miejsce i czas powstania WSiIZ? Czy z perspektywy lat ten czas i miejsce były właściwe? Czy lepiej by było utworzyć Uczelnię wcześniej bądź później niż w roku 1996 i czy Rzeszów to odpowiednie, zdaniem Pana Profesora, miejsce działania Szkoły? Może gdyby Pan Profesor miał drugi raz szansę, to uczelnia powstałaby w innym miejscu?

TP: Uważam, że nasza decyzja była spóźniona o 2-3 lata. Byliśmy nazbyt nieśmiali, mieliśmy za wiele obaw różnego rodzaju – niesłusznie, jak się okazało. Powstało wiele szkół wyższych, założonych przez całkiem, mówiąc delikatnie, przypadkowe osoby, a jednak dość często osiągnęły sukces. Z takim potencjałem, jaki wówczas posiadaliśmy, powinniśmy WSiIZ utworzyć 2-3 lata wcześniej.

AR: A miejsce? Rzeszów?

TP: Jesteśmy mimo wszystko patriotami. Mówię mimo wszystko dlatego, że jeszcze raz się powtórzę, nie doznaliśmy tu istotnej pomocy ze strony władz. Można tylko tyle powiedzieć dla historii, że owszem, był taki wojewoda i był taki wicewojewoda, którzy nam pomogli, którzy pozwolili nam na bardzo polubownych warunkach kupić te 70 arów, na których później rozbudowaliśmy infrastrukturę. Wojewodą był wówczas pan Kazimierz Surowiec, a wicewojewodą pan Zdzisław Siewierski. To są osoby, które niewątpliwie zasługują na naszą dobrą pamięć. Ta lista jest jednak krótka. Można ją ostatnio uzupełnić o Marszałka naszego województwa, pana Leszka Deptułę. Dłuższa jest natomiast lista tego, co myśmy dla tego regionu zrobili. Pozostaje nam mieć nadzieję, że jednak życzliwa, ludzka pamięć kiedyś będzie tym skutkować, że pojawi się znacznie więcej tych, którzy potrafią nas wspomóc nie dla naszych korzyści, ale w celu wykorzystania dla dobra regionu potencjału, który zgromadziliśmy. Mimo tych doświadczeń jesteśmy patriotami tego regionu i zdecydowanie nie żałuję decyzji, by WSliZ zlokalizować w Rzeszowie. Ależ oczywiście, jeśli byśmy z taką determinacją, z takim doświadczeniem realizowali to przedsięwzięcie w Krakowie czy w Warszawie, sukces i rozgłos byłby pewnie większy, ale też można powiedzieć, że bylibyśmy jednym z kilkudziesięciu. A tu, póki co, mamy najmocniejszą pozycję, przynajmniej jeśli chodzi o uczelnie niepaństwowe, i coś dla swoich następców jednak pozostawimy.

W walce o lepsze jutro, w tej części Polski powinniśmy zapisać się dobrze.

AR: Myślę, że to jest znakomita puenta naszej rozmowy. Dziękuję bardzo.